



Prof. dr Edward Rühle



E. Rühle i J. Znosko – Zakopane, 1963 r.



E. Rühle i N.A. Bogdanow – Zakopane, 1963 r.



Jubileusz 80-lecia urodzin prof. dr. E. Rühlego – Warszawa. 1984 r.

Jerzy ZNOSKO

Wspomnienie o prof. dr. Edwardzie Rühle

Dnia 24 sierpnia 1988 r. zmarł w 84 roku życia Prof. dr Edward Rühle. Odszedł po długim, pięknym i pracowitym życiu – jako geolog czwartorzędu, kartograf, Nauczyciel i Wychowawca. Odszedł Człowiek dobry, sprawiedliwy, uczynny, wrażliwy i ascetycznie skromny. Odszedł wzór prawdziwego Człowieka. Pożegnaliśmy w Nim wielki autorytet moralny, żarliwego patriotę, Wielkiego Polaka, świadka odzyskania Niepodległości w 1918 r. i uczestnika wojny w 1920 r. Pożegnaliśmy wieloletniego Dyrektora Państwowego Instytutu Geologicznego i Przewodniczącego – z wyboru – jego Rady Naukowej w latach 1981–1985; Członka honorowego Polskiego Towarzystwa Geologicznego i Czechosłowackiego Towarzystwa Geologiczno-Mineralogicznego.

Prof. dr Edward Rühle odszedł od nas i pozostawił nas poza barierą osamotnienia, zamknęło się bowiem nad Nim nieprzemijające i nieustannie ruchliwe koło czasu. Staliśmy się znów ubożsi o Przyjaciela a bogatsi o mogiłę. Jednakże będziemy pamiętać przeszłość związaną z osobą Profesora, albowiem jest nam ona niezbędnie potrzebna dla naszej przyszłości. I choć każde indywidualne życie jest kruchym, przemijającym istnieniem ludzkim, to jednak bądźmy świadomi, że na niezłomność, trwałość i ciągłość życia składają się właśnie okruchy życia prawdziwych ludzi.

Mam napisać wspomnienie o Prof. dr Edwardzie Rühle. Jest to zadanie piękne, ale jednocześnie i bardzo trudne. Jakże bowiem mam bezstronnie napisać o człowieku, do którego miałem stosunek emocjonalny? Z Profesorem łączyła mnie znajomość dawna; bo 40-letnia. Początkowo była to znajomość zwykła, jakich tysiące, znajomość podwładnego z przełożonym. Potem, nie wiadomo kiedy, zorientowałem się, że łączy mnie z Nim przyjaźń serdeczna. Odczuwałem do tego człowieka niepowtarzalnego szacunek ogromny, a nawet podziw. Podziw dla Jego wielkiej cierpliwości ludzkiej i wyrozumiałości – w stosunku do wszystkich i do wszystkiego, co jest związane z postawami i działaniem ludzi. Odczuwałem dla Niego podziw za Jego niewzruszoną uczciwość pojęciową. Takim Go znałem i takim Go ceniłem. I właśnie z tego wynika mój stosunek do Niego – przede wszystkim emocjonalny. I dlatego nie wiem czy uda mi się napisać o Nim dostatecznie trafnie i wystarczająco godnie, na miarę mego wyobrażenia o tym bardzo dobrym człowieku.

Prof. dr Edwarda Rühlego poznałem w marcu 1948 r. przybywszy z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie na wezwanie do Państwowego Instytutu Geologicznego w Warszawie, jako student II roku geologii z rekomendacją mojego profesora śp. Mariana Książkiewicza. Miałem wysłuchać werdyktu komisji w sprawie mojego stypendium fundowanego przez ówczesny Państwowy Instytut Geologiczny. Przybyłem rano pociągiem nocnym z Krakowa do Warszawy i natychmiast udałem się 14-ką na ulicę Rakowiecką 4 do starego gmachu. Pamiętam, jak dziś, stanąłem w wysokim gabinecie, który znajduje się przed zachodnią rotundą, gdzie dziś mieści się biblioteka i czytelnia, na prawo od głównego wejścia do starego gmachu. W gabinecie tym Profesor spędził zresztą swoje ostatnie lata pracy będąc już na emeryturze. Na moje nieśmiałe przedstawienie się, podniósł się z za dużego, masywnego biurka, człowiek wysoki, smukły – ale barczysty, o twarzy pogodnej, na której dostrzegało się od pierwszego rzutu oka dobroć i przyjaźń. Szeroki uśmiech i mocny uścisk dłoni, zaproszenie do zajęcia miejsca. „Mam przyjemność zakomunikować panu, że Komisja do spraw stypendiów PIG przyznała panu stypendium miesięczne w wysokości 8000 zł (była to wtedy dla mnie suma zawrotna). Jest pan zobowiązany do przedstawienia co pół roku krótkiego sprawozdania z postępów w studiach, poświadczonego przez Prof. Książkiewicza. Bardzo się cieszę i życzę panu jak najlepszych postępów w studiach. A teraz proszę się udać do kasy PIG na I piętrze”. I to było wszystko. Wyszedłem oszołomiony. Bo nie tylko wysokość stypendium zrobiła na mnie duże wrażenie, ale również i fizyczna „wyniosłość” Prof. Rühlego, do której na codzień nie było się przecież przyzwyczajonym. Udałem się do kasy.

Skończyłem w 1950 r. studia znacznie ułatwione fundowanym stypendium PIG i rozpocząłem pracę w Wydziale Rud PIG, który mieścił się wtedy w Karpacim Oddziale, albo jak wówczas nazywano – w Karpackiej Stacji, w Krakowie.

W 1953 r., po ukończeniu budowy nowego gmachu PIG, zostałem – wraz z całym ówczesnym Wydziałem Rud – służbowo przeniesiony do Warszawy i wówczas zetknąłem się powtórnie z Prof. dr. E. Rühle. Pełnił On wtedy w instytucie funkcję wice-dyrektora d.s. naukowych (albo jak nazywano to stanowisko według nowego schematu d.s. badań podstawowych), wkrótce zaś bo od r. 1954 – funkcję p.o. Dyrektora, a od 1955 r. – Dyrektora Naczelnego Instytutu.

Kontakty nasze początkowo były sporadyczne, ale nasiliły się nieco, gdy aktualna stała się dokumentacja nowo odkrytego w 1954 r. złoża syderytów łączyckich. Dyrektor E. Rühle wzywał mnie co pewien czas do swojego gabinetu, który mieścił się na drugim piętrze nowego gmachu, aby usłyszeć, co nowego dzieje się na antyklinie łączyckiej – wówczas bardzo intensywnie rozpoznawanej wiertniczo. Interesował Go profil każdego nowego wiercenia, wymowa złożowa każdej nowoprzewierzonej serii syderytów muszlowcowych. Nieodmiennie padały wtedy również pytania dotyczące profilu utworów kenozoicznych a szczególnie plejstoceńskich. Fascynowały Profesora erozyjne podmycia i przewieszki skałne wapieni górnej jury, pod którymi powtórnie przewiercano utwory burowęglowego miocenu lub namyte utwory plejstoceńskie. To szczególnie leżało Mu na sercu i po pewnym czasie referowanie wyników rozpoczynałem od tych właśnie szczegółów, mimo formalnych protestów Profesora.

Jest samo przez się zrozumiałe, że Profesorowi jako Dyrektorowi Instytutu wielką satysfakcję sprawiały wyniki badań i wiertniczego rozpoznania złoża syderytów, które w latach 1954/1955 było tematem gazetowych doniesień, reportaży, artykułów ale również dziennikarskich spekulacji, wobec których nauka była bezbronna. Niektóre z nich mogły doprowadzić do pasji. Czasem prosiłem o interwencję i uśmierzanie działalności prasy, ale Profesor mówił wtedy z uśmiechem i lekceważącym spokojem: „Niech się pan nie przejmuje. To są rzeczy prze-

mijające i to bardzo szybko. W ostatecznym rozrachunku pozostaje nauka i tylko ona”.

Potem zetknęliśmy się w 1955 r. w Pałacu Staszica przy rozdaniu Nagród Państwowych. Profesor otrzymał nagrodę II st. za dorobek i zasługi w dziedzinie kartografii geologicznej, ja nagrodę III st. za odkrycie łączycyckiego złoża syderytów. Nigdy nie zapomnę tchnących ojcowskim wręcz uczuciem gratulacji Profesora, który chciał i umiał cieszyć się sukcesem swego bardzo młodego współpracownika. Tej głębokiej satysfakcji i jawnej, niewymuszonej a autentycznej radości Profesora nie zapomnę nigdy.

Początek 1956 r. zaskoczył mnie oświadczeniem Profesora, że wyjeżdżamy obaj do Leningradu na Wszechzwiązkowy Zjazd Towarzystwa Paleontologicznego z okazji jego 70-lecia. Profesor znał już moje zaangażowanie w biostratygrafię jury (fauna i megaspory) i stąd zapewne Jego decyzja o towarzyszeniu Mu na tym jubileuszowym zjeździe.

Podczas podróży poznałem nowe, nieznanne mi dotąd cechy osobowości Profesora. Wyjazd mój poprzedził smutny pogrzebowy obrzęd rodzinny, co przy nastaniu wtedy dużych mrozów spowodowało u mnie przeziębienie, które jednak jeszcze się nie ujawniło. Wylecieliśmy dakotą z demobilu i po 4 godzinach lotu, z międzylądowaniem i obiadem w Wilnie, przybyliśmy późnym wieczorem na lotnisko Wnukowo w Moskwie – już w czasie trzaskającego 40° mrozu i bardzo silnego wiatru. Przejście przez płytę lotniska do poczekalni dokonało swego. Dostałem dreszczy i wysokiej gorączki, co Profesor zaraz zauważył. W bufecie napoił mnie gorącą herbatą z cytryną i kazał przyjąć 2 aspiryny. Podczas lotu do Leningradu, nie wiem jakim sposobem, ale spowodował, że dostawałem bez przerwy gorącą herbatę, do której doszły jeszcze 2 aspiryny oraz cała cytryna, obrana przez Profesora i podawana mi co pewien czas cząstka po cząstce. Czuję zbawienny wpływ tej opieki. Wkrótce zasnąłem głęboko i zostałem obudzony przez Profesora już w stojącym na płycie lotniska samolocie z otwartymi drzwiami. Wyszliśmy jako ostatni. Po przeziębieniu nie zostało ani śladu. I mimo że panowały wówczas w Leningradzie – jak i podczas powrotu w Moskwie – niezwykle nawet dla tych miast siarczyste mrozy, żaden nawrót choroby nie nastąpił. Ale też każdego dnia przed wyjściem byłem skrupulatnie rozpytywany przez Profesora – jak jestem ubrany? Nie wiedziałem wówczas czy Profesor był tak troskliwy o mnie tylko, czy też w ogóle był taki. Później okazało się, że właśnie był taki.

Odwiedzaliśmy różne działy WSEGEI na Wasylewskim Ostrowie, tak bardzo związanym z nami przez wielu luminarzy polskiej, rosyjskiej a następnie radzieckiej geologii. Profesor znakomicie się w tym orientował, był w tych rozmowach osobą wiodącą. Z podziwem i dumą odnotowywałem Jego ogromną erudycję, znajomość kartografii geologicznej tego wielkiego kraju i rewerencję, z jaką się do Niego z tego tytułu odnosiło.

Nawiązałem wtedy liczne naukowe znajomości. Jedne z nich trwają do dziś i są żywe. Niektóre, szczególnie serdeczne, przerwała nieuchronna śmierć. Pozostało wspomnienie i świadomość, że zawiązały się one z poręki Profesora, też już nieżyjącego.

Pobyt w uniwersytecie moskiewskim na Leninowskich Wzgórzach również upamiętnił mi się ogromnym uznaniem, z jakim odnoszono się do Profesora. No pewnie! Był to nieczęsty podwówczas gość z zagranicy, ale niezależnie od tego stale przewijały się w rozmowach problemy geologii czwartorzędu i kartografii geologicznej, w których Profesor był wyraźnie uznawanym autorytetem. I najogólniejsze i chyba najsilniejsze wspomnienie z tej podróży, wizyt i rozmów – to ogromna skromność i prostota bycia Profesora, która tak mocno kontrastowała z powszechnym szacunkiem, z jakim się do Niego odnosiło.

Mijały tygodnie i miesiące. Coraz to byłem wzywany na konsultacje i różnego rodzaju rozmowy do gabinetu Profesora, który już wtedy zaczął dobrotliwie hamować i poskramiać moje pełne pasji i temperamentu angażowanie się w różne sprawy. Ale dopiero w jakiś czas potem zrozumiałem w momencie „oślnienia”, że były to rozmowy – sondáže. A że na różne tematy? Profesor chciał mieć pewność co do swoich zamierzeń. Jesienią 1957 r. wezwał mnie do siebie i zakomunikował, że deleguje mnie do międzynarodowej współpracy nad mapą tektoniczną Europy i że będę w tych pracach uczestniczył razem z Prof. dr. Stanisławem Sokołowskim, który podjął się opracowania karpackiej części mapy tektonicznej Polski. Zaczęła się żmudna, trudna praca prowadzona całymi dniami do późnych godzin nocnych. Ale był to czas, kiedy okna Instytutu świeciły się z reguły do późnych godzin wieczornych.

Prace nad *Mapą tektoniczną Europy* I wydania szybko i składnie posuwały się naprzód, co było głównie zasługą nieżyjącego od wielu już lat A.A. Bogdanowa, profesora Uniwersytetu Moskiewskiego i Sekretarza Podkomisji Tektonicznej. To jego wszechstronne talenty sprawiły, że rękopis mapy tektonicznej Europy zademonstrowany został na Międzynarodowym Kongresie Geologicznym w Kopenhadze w 1960 r., w 4 lata od podjęcia uchwały o powołaniu Podkomisji Mapy Tektonicznej Świata na Międzynarodowym Kongresie w Meksyku. Wydrukowana mapa tektoniczna została zademonstrowana w 1962 r. w Paryżu na plenarnej Sesji Komisji Mapy Geologicznej Świata, która odbyła się z udziałem wszystkich podkomisji. Mapa wzbudziła powszechne zainteresowanie a nawet podziw. Polskiej delegacji (w składzie 4 osób) przewodniczył Prof. dr E. Rühle.

I znowu w Paryżu, jak i poprzednio, Profesor był osobistością zauważalną i admirowaną. To właśnie w Paryżu nie kto inny jak sam Alfred Benz podkreślił wielkie osiągnięcia polskiej kartografii geologicznej, akcentując, że powinny być one przykładem dla pozostałych krajów Europy, wyraźnie kierując te słowa do Profesora E. Rühlego, który odbierając potem gratulacje prosił, aby nie przeceniać Jego roli. I znowu ta skromność Profesora: „no dobrze już, dobrze, ale przy tym współpracowało przecież wielu ludzi. Sam nic bym nie zrobił”. Słowa proste, ujmujące ale przecież w części tylko prawdziwe, bowiem architekt sukcesu musi istnieć zawsze, nie może być nim nigdy zbiorowisko ludzi, szczególnie gdy są podzieleni w poglądach na to – co zrobić i jak zrobić. A jest to przecież przypadek najczęstszy.

Po kongresie geologicznym w Indiach w 1964 r., na którym geologię polską reprezentowali: Prezes CUG prof. Mieczysław Mrozowski i prof. dr Stanisław Wdowiarz, otrzymałem od Dyrektora, prof. dr E. Rühlego (2 lutego 1966 r.), przechowywane do dziś, pisemne zlecenie opracowania konspektu nowego *Atlasu geologicznego Polski* w skali 1:2000 000 oraz indywidualnego doboru współautorów. Pracę powinienem zorganizować w ten sposób, aby wydrukowany atlas mógł być prezentowany na Międzynarodowym Kongresie Geologicznym w Pradze w 1968 r. Czasu było niewiele. Trzeba było zorganizować zespół, opracować i uzgodnić podstawę atlasu, tj. legendę, wykreślić czystorysy map i wykonać druk. Na to zwrócił właśnie uwagę Profesor mówiąc: „Pozostawiam panu wolną rękę w doborze współpracowników. Taki naturalny dobór daje zawsze najlepsze wyniki. Nie chcę powoływać do współautorstwa poszczególnych ludzi administracyjnie i włączać tych prac do planu IG. To tylko przedłuży sprawę”. Miał rację i tylko rację. Atlas opracowaliśmy w ciągu 1 roku. Prosiłem Go potem o napisanie przedmowy, jako inicjatora opracowania. Odmówił i powiedział: „Sama inicjatywa, podjęcie decyzji i zlecenie wykonania nie stanowią podstawy do napisania i umieszczenia swego nazwiska. Przedmowę napisze pan jako redaktor naukowy”. I znowu ta skromność Profesora, która była cechą osobową nie do przełamania.

Potem nastąpiły lata trudne i coraz trudniejsze. Profesor nie mógł akceptować pewnych sposobów działania i ingerencji. Nie mógł zgodzić się na „określone” sposoby współpracy z ludźmi, których i poglądy i sposoby administrowania nauką i instytutem, ocena ludzi nie według ich rzeczywistej wartości – pozostawały w rażącej sprzeczności z życiową filozofią Profesora i wyznawanymi przez Niego imponderabiliami.

Przełomowe lata 1965 i 1966 były dla Niego, na stanowisku Dyrektora Naczelnego, najtrudniejsze. Pozostając stale pod dużą presją, jaką na Niego wywierano, i nie mogąc pomóc niektórym ludziom i niektórym sprawom – mimo głębokiego przekonania o słuszności Jego oceny – będąc bezbronnym na jawne i brutalne ingerencje pozamerytoryczne, o wszelkich cechach sądów kapturowych, zdecydował się złożyć prośbę o zwolnienie Go z obowiązków Dyrektora Instytutu, której Prezes CUG nie chciał początkowo przyjąć do wiadomości. Przychodził wtedy często do mnie na rozmowy i wyżalanie się. Wtedy dowiedziałem się wprost z Jego ust, jakie Mu robiono przykrości, jakimi sprawami Go zaskakiwano, jakie stosowano metody aby tego na wskroś łagodnego człowieka zmiękczyć i zniewolić. Nie udało się ani jedno, ani drugie. Pozostał tylko żal i głęboki niesmak. Rozumienie i stosowanie prawdy w życiu, postawa lojalności, w jakiej wzrósł i z którą się zżył, powodowały, że pewne postawy ludzi i metody ich działania były dla Niego niezrozumiałe i były przez Niego nie do zaakceptowania. Pocięsział się tylko tym, że jest zdrow, silny i ma tyle jeszcze do zrobienia.

17 czerwca 1966 r. Prezes CUG-u wyraził zgodę na ustąpienie Prof. dr. E. Rühlego ze stanowiska Dyrektora Naczelnego, cò było dla Niego wielką i wyraźną ulgą. Przeszedł na stanowisko Profesora zwyczajnego w instytucie z planem opracowania i zredagowania serii map geologicznych w skali: 1:500 000. Mapy te (mapa geologiczna zakryta i kolejne mapy: bez utworów czwartorzędowych, bez utworów kenozoicznych, bez utworów kenozoicznych i kredowych, bez utworów kenozoicznych, kredowych i jurajskich) – opracowane przy współudziale autorskim i redaktorskim wielu geologów – były w zasadzie Jego osiągnięciem indywidualnym jako redaktora naukowego, który dbał o skorelowanie poszczególnych części map, o korektę merytoryczną, o wyrysowanie czystorysu, o dobór właściwych barw dla legendy i mapy i o możliwie najstarszy druk, ale przede wszystkim o wyczerpującą i uwzględniającą wszystko legendę – tę podstawę, fundament każdej mapy. O ile mi wiadomo, są to jedne z najtańszych map, jakie wykonano w instytucie. Profesor dr E. Rühle uważał te mapy za końcowy akcent Jego kartograficznej działalności, choć nadal był czynny, pisząc artykuły, recenzje i redagując różne zbiorowe wydawnictwa.

Wiele razy dyskutowaliśmy u mnie w pokoju różne szczegóły legendy, sposoby jej najlepszego rozwiązania. Te merytoryczne dyskusje przeplatały często osobiste wspomnienia Profesora na temat stosunków społecznych i politycznych w II Rzeczypospolitej i jego pracy kartograficznej na Polesiu, potem o kampanii wrześniowej, którą Profesor, studiując różne opisy i wspomnienia wielu jej uczestników, znał w szczegółach jak najlepszy sztabowiec. Słynne wśród znajomych były jego dyskusje na ten temat z gen. Juliuszem Rommlem. Wiele było rozmów o geologii wojennej, niepopularnej u nas przed wojną i po wojnie. Niezwykle interesujące były również Jego wspomnienia o działalności okupacyjnej w Warszawie, w terenie i w samym instytucie, o powstaniu warszawskim, o tragicznym exodusie ludności, o ratowaniu ludzi z rąk okupanta a potem z rąk hitlerowskiego żołdactwa, w czym brał udział z narażeniem własnego życia. Barwne były Jego opowiadania o wielu wybitnych geologach polskich i zagranicznych, których znał osobiście. Szczególnie ciepło wspominał prof. K. Bohdanowicza, którego wielkie dzieło pt. *Surawce*

mineralne świata wyszło drukiem jako wydanie póstmiertne dzięki uporowi i pasji Profesora.

Ten systematycznie pracujący i doskonale na codzien zorganizowany człowiek, w czym dopatrywaliśmy się genetycznych wpływów jego pochodzenia, któremu obce były sarmackość, szturmowczyzna i szwoleżerskie postawy życiowe i który w określonych sytuacjach zawsze mówił „tak, ale to mimo wszystko trzeba zrobić” albo „tak, ale mimo wszystko trzeba pracować”, zaskoczył swych przyjaciół wiośną lub wczesnym latem w 1981 r. oświadczeniem: „Idę pożegnać się z górami. W tym roku czuję się jeszcze dobrze, ale wydaje mi się, że w przyszłym roku już mógłbym nie podołać”. Wielu z nas, Jego przyjaciół, było zaskoczonych a nawet zdumionych. W wieku przeszło 76 lat przeszedł samotnie graniami i dolinami Tatry, od Doliny Chochołowskiej po Dolinę Rybiego Potoku. Czy było to wyrazem polskiego romantyzmu, czy też nieliczenia się z własnymi siłami? Ale okazało się, że ten maratończyk w młodości, z genetyczną skrupulatnością policzył swe siły i zamierzenie wykonał z istic polskim romantyzmem. Przeszedł samotnie w sierpniu w ciągu dwóch tygodni całe Tatry, spotykając się na trasach z młodszymi swymi kolegami z Instytutu. Zatrzymywał się w schroniskach, odpoczywał na polanach, na graniach i „w sobie wiadomych miejscach”, napawając się widokami Tatr i wspominając wszystkie miłe w Jego życiu zdarzenia, które tu w Tatrach się rozegrały. Był jawnie szczęśliwy. Nie wyciągaliśmy Go na zwierzenia, ale słuchając Go dzieliliśmy razem z Nim Jego radość. Ta cecha osobowości Profesora ujawniła się nam najpóźniej. Było to jakby czynnym potwierdzeniem swoistego i wyjątkowego zapisu w jego legitymacji służbowej z czasów okupacji wydanej przez okupanta „Pole, Dr Edward Rühle”. Tak, był to piękny i istic polski odruch serca – w pełni zrozumiały dla niejednego z nas.

Wielka, ludzka uczynność Profesora i umiejętność współczucia również ujawniała się w sposób niespodziewany. Jedną z moich pracownic od wielu lat cierpi na pogłębiającą się chorobę wrzodową. W czasach trudnych jest również trudno i o lekarstwa, które przepisują lekarze – bardziej z medycznego obowiązku niż z przekonania, wiedząc, że dany specyfik jest nieosiągalny. Podczas jednego z „cierpiących momentów”, akurat w obecności Profesora, padło pytanie „a co to za lekarstwo”. Profesor nie mówiąc nic – zapisał. Po paru dniach pojawił się u nas i wręczył zdumionej współpracownicy opakowanie z lekarstwem, mówiąc, że przywiózł je z Gdańska, z apteki lekarstw zagranicznych, w której dowiedział się, że dany specyfik jest akurat w sprzedaży. Udał się do lekarza, uzyskał receptę i lekarstwo zakupił, ale ani słyszeć nie chciał o jakimkolwiek regulowaniu należności. I kiedy wdzięczna osoba zameldowała się u Niego z wyrazami podziękowań i z kwiatami, obruszył się autentycznie mówiąc, że „jest samo przez się zrozumiałe, iż człowiekowi cierpiącemu trzeba pomóc”.

W 1985 r., 15 listopada, przypadła rocznica 50-lecia pracy naukowej Profesora. Nie życzył sobie ani wystawnej „pompy”, ani uroczystej akademii, ani nawet sesji naukowej, co przecież byłoby w pełni zrozumiałe. Mała, skromna uroczystość z kwiatami odbyła się w sali im. J. Czarnockiego. Było na niej zaledwie 12 osób. Życzenia, przemówienia 9 osób i kwiaty. Profesor był wyraźnie wzruszony.

Miałem również zaszczyt przemówienia do Profesora. Pisząc to wspomnienie o Nim, nie mogę nie przywołać choćby fragmentów owego wystąpienia:

Profesorze Drogi i Kochany!(...) Mówiłem już do Pana przed 10 laty z okazji 40-lecia Pańskiej pracy naukowej. Czy mógłbym dziś powiedzieć inaczej niż wtedy? albo co innego niż wtedy? Otóż nie mogę, bo w Pańskiej charakterystyce nie zmieniło się nic. Doszło tylko owych 10 lat, o których nie można powiedzieć, że były smutkiem przemijania i osamotnienia, albowiem pozostał Pan nadal tym – kim Pan był – człowiekiem bez reszty oddanym pracy naukowej; człowiekiem, który ani na jotę

nie zmienił swego charakteru mimo różnych trudności losowych, nietatwych sytuacji i ludzkich, bolesnych niekiedy dotknięć. Pozostał Pan człowiekiem o nieuszczerpionej – humanistycznej pogodzie ducha, o wielkiej, niewygasłej pasji badawczej i twórczej. „Semper idem, semper in labore”(...).

Mozna by i należałoby na ten temat mówić wiele i długo, bo lista Pańskich osiągnięć jest, jakby to powiedzieć, co najmniej niebagatelna, żeby zachować skromność i umiar. A wieloletnie dyrektorowanie Instytutem? Przecież to za Pańskiej dyrektorskiej kadencji nastąpiły odkrycia miedzi, rud żelaza, soli potasowych i węgla brunatnego oraz udokumentowanie dużych zasobów, odkrytych na nowych obszarach złóż siarki, cynku i ołowiu, węgla kamiennego i brunatnego. Są to, jak wiadomo, największe surowcowe osiągnięcia Instytutu Geologicznego. W niektórych z nich ma Pan bezsporny swój udział, dla innych zagwarantował Pan jako Dyrektor właściwe warunki badań, ale przede wszystkim ową nieodzowną, sprzyjającą atmosferę, której ciepło ja osobiście odczuwam do dzisiejszego dnia(...).

Kiedy rozpatrujemy zbiór osiągnięć i dokonujemy jego oceny, rozglądamy się pilnie za tymi najbardziej celnymi(...). W Pana przypadku, Panie Profesorze, jest to kartografia geologiczna, która dla mnie osobiście stanowi synonim Pańskiego nazwiska. Wszystkie atlasy geologiczne, wydane przez IG po 1945 r., to Pańska inicjatywa, a w wielu przypadkach Pański bezpośredni naukowy udział i twórcza inwencja, wyrażająca się autorstwem, współautorstwem i naukową redakcją. Ale ponieważ „nie ma proroków we własnym kraju” przeto niech dadzą świadectwo obcy. Na konferencji plenarnej Komisji Mapy Geologiczne Świata, w grudniu 1962 r. w Paryżu, nie kto inny tylko sam wielki Alfred Benz, przewodniczący delegacji geologów RFN, powiedział dosłownie: »„Duże osiągnięcia naszych polskich kolegów zasługują na szczególne podkreślenie. Opublikowali oni Atlas Geologiczny Polski, obejmujący m.in. serię różnych map jak: mapa geologiczna, mapa podłoża, mapa czwartorzędu oraz mapy geofizyczne i paleogeograficzne poszczególnych systemów, co bez wątpienia stanowi efekt olbrzymiej pracy. Sporządzenie tego typu atlasu dla wszystkich krajów europejskich byłoby jak najbardziej pożądane”«.

Na międzynarodowym kongresie geologicznym w Pradze w 1968 r. w memoriale opracowanym przez akademików W.W. Mennera, W.E. Chaina i prof. A.A. Bogdanowa, stwierdzono: »„Według dotychczasowej oceny najbardziej zaawansowane są studia i kartografia paleogeograficzna w ZSRR, Polsce, USA, Kanadzie, Japonii i NRF”«.

W wydawnictwie Nowyje Knigi za rubieżom (Moskwa, 1970) akademik W.E. Chain pisze dosłownie: „Atlas geologiczny Polski, zagadnienia stratygraficzno-facjalne, W-wa, 1957–1965, jest jedną z najpoważniejszych syntetycznych prac i w ogóle pierwszą takiego typu w świecie. Jest to monografia kapitalna”. W tejże recenzji W.E. Chain pisze, że „Atlasu geologicznego Polski w skali 1:2000 000”(…) z tak pełną serią map paleogeograficznych, nie ma jeszcze żaden kraj na świecie nie wyłączając z tego dobrze zbadanych krajów Europy zachodniej”.

Oto są echa międzynarodowe i światowe, jako ocena Pańskiej w tej dziedzinie działalności, Czy może Pan oczekiwać większej satysfakcji? A przecież jest to tylko wybór ocen, opinii i recenzji. Jest ich więcej, ale przytoczenie nawet wszystkich niczego tu nie zmieni. Poprzestańmy więc na nich.

Drogi i Kochany Panie Profesorze! Przy takich okazjach trudno jest uniknąć refleksji natury osobistej. Wiele na ten temat mógłbym i powinienem powiedzieć. Jest to rozdział odrębny o bardzo wielu zapisanych stronicach. Ich wielokrotne, przy różnych okazjach odczytywanie, niekiedy już nawet jako wspomnienie i sprzed kilku i sprzed 30 lat, wprowadza mnie w nastrój zadumy i, nie będę ukrywał, w nastrój ogarniającego ciepła, zaufania i przyjaźni. Ale to co odczuwam, chciałbym wyrazić krótko – Panie Profesorze! – wszystkie kontakty z Panem od czasów, kiedy

hylem młodym i dopiero co wypromowanym magistrzem, aż po dziś dzień, kiedy jestem profesorem i członkiem Akademii, zachowałem we wdzięcznej pamięci, ponieważ jest Pan Osobą, z którą wszelkie zetknięcia naukowe, służbowe i na gruncie prywatnym, były zawsze doznaniem, w którym dominowało odczucie wielkiej życzliwości, wielkiej kultury i wielkiego człowieczeństwa...

Mimo swego wieku, skończonych 80-lat, Profesor trzymał się znakomicie. Zawsze widziałem Go z mego okna idącego do starego gmachu, w którym pracował nadal (w gabinecie pamiętnym dla mnie od 1948 r.), idącego powoli i dostojnie, wyprostowanego. Wydawało się, że brzemień lat nie ciąży Mu jeszcze fizycznie. Ale w czasie złej pogody lub gołoledzi zaczęła się pojawiać w ręce Profesora laska – ta podpora starości. Jednak nadal był energiczny i pogodny, choć muszę powiedzieć, że zastanawiały mnie oświadczenia Profesora np: „oddalem 2,5 m moich materiałów do archiwum Muzeum Ziemi”, albo: „przekazałem całą moją bibliotekę Uniwersytetowi Szczecińskiemu, który powołano”. Były i inne informacje o charakterze prywatnym np. „zapisałem moje mieszkanie własnościowe mojemu siostrzeńcowi” albo „czy zesłowieczne monografie o badaniach antarktycznych Arctowskiego i Dobrowolskiego przydadzą się prof. Birkenmajerowi, bo słyszałem, że on kompletuje bibliotekę o tematyce badań polarnych”. Wyglądało na to, jakby skrupulatnie i metodycznie likwidował i porządkował swoje sprawy. Poczytywalismy to za pedanterię. Ale cóż można wiedzieć o najintymniejszych myślach człowieka?, cóż można wiedzieć?...

W sierpniu 1986 r. zmarła Żona Profesora – Halina z Radliczów Rühlowa – jego współtowarzyszka życia od 1938 r., współuczestniczka Jego dokonań i w wielu przypadkach współautorka w dziedzinie badań geograficznych. Profesor ciężko i boleśnie przeżył odejście Małżonki, choć przyjął ten cios zdawałoby się z pokorą i rezygnacją chrześcijańską. Brakowało Im dwóch lat do jubileuszu złotych godów. Było wręcz widoczne, że Profesor utracił podporę swego życia, pochylił się, zmalał, jak gdyby zapadł się w sobie, uśmiech gościł rzadziej na Jego twarzy, głos stał się starczy. Ta metamorfoza była bardzo szybka i bardzo widoczna. Towarzyszyło temu gorączkowe porządkowanie pozostałych jeszcze spraw. Profesor wyraźnie spieszył się, jak gdyby bał się, że nie zdąży. Któregoś dnia dostałem od Niego pokazaną teczkę z różnymi papierami, notatkami, zapiskami, oświadczeniami, kopiami listów do różnych ludzi i władz: „Niech pan to weźmie, przyda się panu, mnie już nie będzie potrzebne”. Papiery prawie w całości dotyczyły mego trudnego okresu pracy w instytucie.

Któregoś dnia w lipcu Profesor zatelefonował do mnie w banalnej sprawie przepisania czegoś na maszynie. Ale okazało się, że Tereska jest na urlopie, więc sprawa jest nieaktualna. Normalnie Profesor przychodził wprost to nas i sprawę załatwiał. Tym razem zatelefonował. Machinalnie zapytałem, skąd Pan dzwoni? – „z lecznicy”. Myślałem, że jest tam po lekarstwa w aptece, albo ma rutynowe badania kontrolne. Nie skojarzyłem. Dopiero po kilku dniach dowiedziałem się, że jest na oddziale intensywnej terapii. A więc zawał serca, sprawa poważna. I jeszcze wtedy, mając aparat telefoniczny pod ręką, pozostawał w stałym kontakcie z domem polecając, co i jak załatwić – w szczegółach. Nawet i to, że nie chce, aby były na jego pogrzebie przemówienia. Jednakże jedno było. Przemawiał Pastor, u którego był przed udaniem się do lecznicy i z którym uzgodnił, co i jak powie. On jeden, nikt więcej. Wyraz chrześcijańskiej pokory wobec śmierci i wszelkich marności doczesnych tego świata. Z lecznicy już nie wrócił do nas.